



16

(Ciąg dalszy).

## POWIEŚĆ.

— Winy rodziców nie spadają na dzieci — rzekła księżna poważnie i smutnie.

Powstała z ławki, wyjęła z portmonetki dwa banknoty i jeden z nich stróżce podała.

— Jeśli nieszczęśliwe powrócą, to oddajcie im te dwadzieścia pięć rubli... i powiedzcie, że Zosia znajduje się w bezpiecznym miejscu i że mogą przyjść do niej... że zostaną najżyczliwiej przyjęci. Oto mój adres.

To mówiąc podała stróżce bilet wizytowy wraz z drugim banknotem.

— Dziesięć rubli dla was, od Zosi, za to, żeście o niej nie zapomnieli.

Wyszła szybko z izby dla uniknięcia podziękowań.

Kareta była już daleko, a astmatyczka nie mogła jeszcze przyjść do siebie, przejęta zdziwieniem. Mięła banknoty w rękę i mruczała pod nosem:

— Jeden papierek dla Żarskiej, drugi dla mnie... Dwadzieścia pięć i dziesięć rubli... Jakaś szlachetna osoba... Musi być wielga pani!

Właśnie w tej chwili lokatorka z pierwszego piętra, żona urzędnika z magistratu, mijała otwarte na rozcież drzwi izdebki. Stróżka spostrzegła przechodzącą i poskoczyła ku niej.

— Paniusiu najdroższa, przepraszam bardzo... ale niech paniusia z łaski swojej będzie tak dobra i przeczyta mi, co stoi napisano na tym karteluszu?

Lokatorka wzięła bilet do ręki i przeczytała:

— „Amalia księżna Sieńska“. Smolna, 14.

— Tam, do dyaska! księżna... wielga... bardzo wielga pani! Dziękuję mocno i pokornie przepraszam, żem fatygowała... — Mruczała ciągle: — Wielga, wielga pani!

— A o cóż to chodziło?

— Już ja to, proszę paniusi innym razem opowiem.

Księżna kazała stangretowi zatrzymać się na Krakowskim-Przedmieściu przed kościołem O. O. Karmelitów. wiedziała bowiem, że o tej porze znajdzie tam księdza Wielogrodzkiego, który popołudniu przychodził tu się modlić codziennie; często zaś z rana w ulubionej sobie pięknej świątyni Mszę świętą odprawia; co tydzień w niej także rozdziela jałmużnę między znanych sobie ubogich — i nieraz miewa na nieszpórach słynne kazania, na których gromadzą się tłumy pobożnych, wszystkich stanów.

Właśnie stał na ambonie, gdy księżna weszła do kościoła.

Zwróciła się więc, przeciskając się wśród licznych słuchaczy Bożego słowa, do kaplicy, przyozdobionej marmurowym pomnikiem, wyobrażającym Chrystusa Pana, spoczywającego na śmiertelnej pościeli — i wzburzona jeszcze do gruntu tem, co usłyszała na Nowem-Mieście, pragnąc zebrać rozpierzchnięte myśli i zapanować nad wzruszeniem, ukłękła przed ołtarzem.

O kilka kroków za nią stali w cieniu Graziella i Kwiat-Nędzy, przysłani tu przez Złotą-Rączkę, która wyczytawszy w „Kuryerze porannym“, że u Karmelitów odbywać się będzie solenne, wieczorne nabożeństwo, na które zwykle uczęszcza arystokracja, wyprawiła tam dzieci na zebranie. Lecz Janek i Różia, niechętnie wyciągający ręce po datki, a nadto straszliwie zmęczeni całodziennym krążeniem po mieście, schronili się do prawie pustej kaplicy, żeby w niej odpocząć.

Graziella, ujrawszy księżnę, szepnęła towarzyszowi do ucha:

— Tę panią, żebym śmiała, to poprosiłabym może o wsparcie, bo widzi mi się, że musi być bardzo dobra. Dostawszy co od niej, moglibyśmy drapnąć zaraz do budy, pewni, że nas wieczorem nie czeka chłosta.

— O, ja nie ośmieliłbym się za nic w świecie. Ręka mi drży, gdy ją wyciągam po jałmużnę i zawsze lękam się, czy nie zemdleję.

— To prawda, żeś ty nie urodził się do takiego rzemiosła. Co innego ja i Piotruś. My od maleńkości żebrzemy, bo nas żadnej pracy Złota-Rączka nie nauczyła. Ty pochodzisz z uczciwej rodziny. Nie miałeś matki żebraczki, a ojciec twój zarabiał na życie, gdy my z Pietrkiem ulegliśmy się w błocie, z którego może nigdy wyleść nie zdołamy.

Po tych słowach, wymienionych przez dziewczynkę szeptem, ukłękli oboje i zaczęli modlić się gorąco.

Księżna, chociaż bardzo pobożna, dziś modlić się nie mogła, powstała więc, a obróciwszy się, spostrzegła dzieci za sobą. Zbliżyła się do nich i w złożone rączki Grazielli wsunęła złotą monetę. Ta spojrziała na pieniądź, potem na pochyloną nad sobą wielką damę i rzekła cicho.

— Pani pewno się pomyliła... to dziesięć rubli w złocie.

— Nie, nie pomyliłam się moje dziecko — odpowiedziała księżna, przesuwając rękę, opiętą białą rękawiczką, po włosach dziewczynki. Pomódlcie się oboje za nieszczęśliwszych od was.

I odeszła.

Dzieci uradowane przycisnęły się do siebie. Od dnia, w którym Janek dostał się do „budy“, wytworzyła się między nimi przyjaźń serdeczna. Jedno za drugie gotowe było życie oddać. Różia i Piotruś stawali zawsze w obronie towarzysza, ile razy tylko Czupiradło lub Złota-Rączka bić go chcieli — a zdarzało się to dosyć często. Pomimo przywiązania do Grazielli i Marco-Spady, Kwiat-Nędzy nie zapomnieli jednak o Sabinie i o Zosi, które kochał jak siostry rodzone i marzył o nich po całych nocach.

Pomodliwszy się jeszcze chwilę, powstał oboje i opuścili kościół. Na ulicy rzekła Graziella do Janka:

— Nie oddamy matce wszystkich pieniędzy... damy Piotrusiowi, żeby je zmienił. Trzeba część zachować na inny raz, gdy nic nie użebrzemy.

— Zrobisz, jak zechcesz — odparł Kwiat-Nędzy.

W „budzie“, na Czystem, czekał na nich Pietrek, bardzo błądy i smutny, zmieniony do niepoznania.

— Czyś sam? — zapytała Różia.

— Tak. Oni jeszcze nie wrócili. Chciałbym, do dyaska, żeby wcale nie przyszli!

— Cóż ci się stało?

— Stłukłem wszystkie figurki.

— Wszystkie?

— Co do jednej!

— No, nie smuć się — zawołał Janek — mamy dziesięć rubli w złocie, to...

Nie skończył mówić, gdy drzwi nagle się rozwarły, a na progu ukazała się Złota-Rączka z Czupiradłem.

— Co? co? wrzasnęła baba. Czy myślicie, że nie słyszeliśmy waszego mamrotania? Oddać mi zaraz dziesięć rubeliansów w złocie, które moje ukochane dziecko, mój Kwiatuszek-Nędzy, nie wiem gdzie zjuchcił!

— Nie zjuchcił! dała mu je jakaś dobra pani w kościele — rzekła oburzona Graziella.

— Byłam pewna, że ten mikrus łatwiej zarobi żebrząc, niż sprzedając pomarańcze. Słowem trafił na właściwy dla siebie interes... i zarabia, zarabia! Nie tak, jak Piotruś, do niczego, próżniaczysko, leniuch...

— Który tłucze figurki, wyprawiając z chłopakami szpryncę na ulicy — dodał Czupiradło. — Powiadam ci łobuzie, że po raz ostatni przebaczam... a chociaż Złota Rączka ma do ciebie słabość, boś ładny i zwinny, jeśli cię jeszcze kiedy przyłapię na nowej szkodzie, puszcze ci krew nie tylko z nosa... Zobacysz!... No, a teraz dość próżnego rechotania. Matka! dawaj papać, bo żywot mój gwałtu krzyczy o kolację.

Złota Rączka zabrała się do odgrzewania wczorajszej strawy — a dzieci, drżące od zimna i umierające z głodu, siadły rzędem w najciemniejszym kącie izby, oczekując w milczeniu na resztki wieczerzy, jakie na stole po rodzicach zostaną.

## XVI.

Księżna, opuszczając świątynię, weszła naprzód do zakrystyi, żeby zobaczyć się z księdzem Wielogrodzkim.

— Księża hrabiego, dobrodzieja naszego — powiedział, nisko kłaniając się zakrystyan — już niema. Dziś, nie czekając długo, szastu prastu, narzucił na siebie futro i wyszedł. Właśnie chciałem...

Nie czekając na rozwlekłe opowiadanie gadatliwego sługi kościelnego, który bardzo rozprawiać lubiał, księżna podziękowała mu za informację i wysunęła się z zimnego, prawie zupełnie już opróżnionego kościoła.

— Do mego brata — powiedziała stangretowi, wsiadając do powozu.

Ksiądz Wielogrodzki mieszkał za katedrą św. Jana, przy ulicy Kanoniczej. Zajmował parę niedużych pokojów, przyozdobionych kilku znakomitymi dziełami sztuki, wyborową biblioteką i widokiem na Wisłę, rozciągającym się za oknami rozległą, interesującą panoramą. Prócz obrazów i bogato oprawnych książek, całe urządzenie i umeblowanie mieszkania było bardzo skromne, nie noszące na sobie wcale znamion wytworności i zbytku, do jakich lokator od dziecka był przyzwyczajony.

Księżna lekko przebiegła niewygodne schody, prowadzące na drugie piętro i zadzwoniła do drzwi, na których wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, oprawiony w żelazną ramkę. Zatrask i łańcuch bezpieczeństwa — jakimi w Warszawie opatrzone bywają wszystkie główne do mieszkań wejścia — szczęknęły zgrzytliwie, drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się stara, siedemdziesięcioletnia służąca, którą wielka pani ucałowała serdecznie w oba policzki, mówiąc:

— Jak się masz Joasiu?

— Dzięki Bogu, jeszcze zdrowa. Właśnie panicz powrócił z kościoła i wybiera się na obiad do księżnej pani.

— Przypuszczam, że przyjechałaś po mnie — rzekł ksiądz, ukazując się na progu przylegającego do przedpokoju saloniku.

— Tak... lecz wprzód chciałam tutaj pomówić z tobą.

— Ależ proszę cię... jestem na twoje usługi.

Wprowadził siostrę do swojej szczupłej bawialni, usadowił w wygodnym skórzanym fotelu, a sam zbliżył się do kominka, na którym ogień dogasał. Wyjął z koszyka, stojącego obok, nieco drewek, rzucił je na żarzące się węgle, poczem mieszkciem dmuchnął raz i drugi — i nagle buchnął z nich jasno-czerwony płomień, jaskrawymi językami obejmujący drzewo i rzucający na białe ściany złote blaski.

— Mamy dziś nadzwyczajne zimno — szeptał poprawiając żelaznym pogrzebaczem drzewka.

— Coraz zimniej na świecie. Straszliwe mrozy dckuczają biednym i wydziedziczonym okrutnie.

— Tak, tak... i ja właśnie myślałem o tem — odparł ksiądz, chmurząc jasne czoło. Lecz powiedz mi z łaski swojej, o czem to miałaś mówić ze mną?

— Nie chciałam ci przeszkadzać, widząc, jak bardzo zajęty jesteś roznieczaniem ognia.

— Ba! nie żartuj... wiesz przecie, że to moja jedyna mania. Lubie płomień i lubie grzać się przy nim, chociaż nieraz wyrzucam sobie, że korzystam z ciepła, gdy inni... Dość o tem! Domyślam się, że przyjechałaś, żeby mi coś donieść o Zosi.

— Tak, przybywając tu, Zosię miałam na myśli.

— Przypuszczam, że musi mieć się znacznie